

REAKCJA ŁAŃCUCHOWA



Jacek Gędek

JACEK GĘDŁEK

REAKCJA ŁAŃCUCHOWA

© Copyright by
Jacek Gędłek & e-bookowo

Projekt okładki Jacek Gędłek

ISBN 978-83-7859-657-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2016

PROLOG

19 kwietnia

Prowincja Kars, wschodnia Turcja

Droga, którą jechaliśmy wojskowym Jelczem na spotkanie z bojówkarzami Państwa Islamskiego, mogłaby stanowić kwintesencję wszystkich górskich tras świata. Wydawało się, że jest tak wąska, iż co najwyżej można by nią przegonić stadko kóz, a tymczasem Ali dokonywał za kierownicą prawdziwych cudów, utrzymując ciężarówkę na szutrowej nawierzchni. Sporadycznie tylko któreś z kół wyjeżdżało w stronę przepaści z prawej strony. Ali wówczas odbijał w lewo, bo lepiej porysować Jelcza o skały, niż zginąć, koziółkując w dół po zboczu.

Kiedy razem z polskimi oddziałami ekspedycyjnymi wyruszałem do Turcji, na odprawie słyszałem, że jest to „kraj wyżynno-górski”. Nie sposób się nie zgodzić – od swojego przybycia widziałem tylko albo bazę wojskową w Incirlik albo mniejsze lub większe wzniesienia.

Ali kulił się za kierownicą, ścisnął ją tak, jakby chciał przełamać na pół i pocił się obficie mimo włączonej klimatyzacji. W bazie wojsk koalicyjnych wyglądał na bardziej opanowanego, wręcz zimnego, lecz im było bliżej rozpoczęcia operacji, tym denerwował się bardziej. Ja też nie stanowiłem wzoru

stoickiego spokoju. W końcu, będąc przecież członkiem polskiego kontyngentu, wysłanego do Turcji na interwencję przeciwko Państwu Islamskiemu, zamierzałem sprzedać bojownikom IS granatniki RPG, karabiny i amunicję.

Miałem prawo być zestresowany.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem po angielsku, ale bardziej do siebie niż do Alego. Kierowca tylko pokiwał głową.

Wojskowa ciężarówka niezłe radziła sobie z mozolnym pokonywaniem kolejnych metrów pod górkę. Kiedy już dojechaliśmy do szczytu wzgórza, zdawało się, że zawieszenie wydało pełen ulgi jęk. A kawałek dalej już na nas czekali – dwaj Arabowie, stojący obok ciężarówki nieznaney mi marki, do której miała zostać przeładowana broń. Ali podjechał do nich, zatrzymał Jelcza i rzucił w moją stronę:

– Poczekaj chwilę.

Bawiąc się zegarkiem na przegubie, obserwowałem, jak Ali luźnym krokiem podchodzi do dwójki Arabów. Po bojówkarzach Państwa Islamskiego spodziewałem się czarnych strojów i fanatycznego błysku w oku, tymczasem ta dwójka wyglądała jak dwudziestoletni rekruci z pierwszej lepszej armii. Okej, żadna armia nie dopuści, aby jej poborowy miał rzadką brodę na policzkach (a takowe mieli obaj), ale poza tym nie różnili się zbytnio od przeciętnych szeregowych. Nawet wytrzasnęli skądś pustynne mundury maskujące, zupełnie nie na miejscu wśród skał Wyżyny Armeńskiej.

Obaj mieli kałasznikowy – ten po prawej nonszalancko przewieszony przez ramię, ten po lewej w pełnej gotowości. Po tym, jak traktowali broń, mogłem ocenić ich doświad-

czenie. Tego po prawej dla wygody nazwałem go Okularnikiem, bo nosił śmiesznie małe okulary (wydawało się, że na czubku nosa utrzymują się wbrew prawu grawitacji). Wyglądał na człowieka, dla którego wymiana broni za gotówkę to chleb powszedni. A rutyna bywa zgubna, dlatego też za większe zagrożenie uznałem drugiego Araba, który nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nie widziałem z tej odległości, ale gdyby broń była odbezpieczona, Nerwus mógłby jedną serią posłać nas do raję.

Ali najwidoczniej uporał się ze wstępnymi uprzejmościami i przywołał mnie gestem. Wyszedłem, nie zapominając o zabranii karabinu beryl i o wciśnięciu jednego z przycisków przy tarczy zegarka. Uderzyło we mnie gorąco. Byliśmy jakieś tysiąc metrów nad poziomem morza, był dopiero kwiecień, ale słońce tego wczesnego popołudnia grzało niesamowicie. Zaprzagnąłem wrócić do chłodnego wnętrza pojazdu.

Na widok karabinu w moich rękach Nerwus spał się i zatrajkotał coś śpiewnie po ichniemu.

– Mieliliśmy być nieuzbrojeni – przetłumaczył Ali na angielski.

– Nie pójdę na negocjacje bez broni – fuknąłem. – Nie znam ich i nie robiłem z nimi wcześniej interesów.

Nerwus i Okularnik nie wracali już do kwestii beryla, bardziej interesując się zawartością ciężarówki. A w skrzyniach spoczywało dwadzieścia granatników RPG (przypomniałem, że nieuzbrojonych, co nie wywołało euforii u moich klientów), trzydzieści karabinów AK-47 i sporo amunicji. Nie był to nic nadzwyczajnego, czego świadome były obie strony. Najpierw trochę podbiłem stawkę, na którą się umówiliśmy

na samym początku, Okularnik chciał trochę ją obniżyć, i tak kwota po kwocie doszliśmy do porozumienia. Podczas negocjacji, w których pośredniczył Ali, miałem surrealistyczne wrażenie, że znajdujemy się na jakimś dziwnym suku, gdzie przedmiotem sprzedaży jest broń. Takie miejsca pewnie można spotkać w Syrii, Iraku, Iranie czy Libanie...

I kiedy już zastanawiałem się, jaki gest kończy targowanie się z Arabem (uścisk dłoni? Chyba jednak nie...), nagle zerwał się wiatr, wywołany przez śmigłowiec, który niczym diabeł z pudełka wyskoczył zza wzniesienia nieopodal i pofrunął w naszą stronę. Rozpoznałem markę – wielozadaniowy W-3 Sokół, oraz oznaczenia polskiej armii, a w oczach moich klientów najpierw zdumienie, a potem złość. To ciebie śledzili, zdawały się mówić spojrzenia, ty ich do nas sprowadziłeś!

Zanim Okularnik zdążył zdjąć kałasznikowa z ramienia, a Nerwus uporać się z bezpiecznikiem (jednak nie miał odbezpieczonej broni, chwała Bogu), sam podniosłem beryla, spokojnie wycelowałem i posłałem krótką serię w stronę Sokoła. Bardziej na postrach, niż faktycznie licząc na cokolwiek, tymczasem nagle z burty śmigłowca uniósł się kłęb dymu, a sam W-3 przechylił się na bok i zawrócił.

Wtedy dwaj Arabowie ożyli. Nie potrzebowałem tłumaczenia Alego, aby zrozumieć, co znaczą rozkazy po arabsku i gorączkowe ruchy kałasznikowów – odrzuciłem karabin, padłem na kolana i złączyłem dłonie na karku. Ali już klęczał obok mnie.

– Weźcie mnie ze sobą – powiedziałem, nadając swojemu głosowi żalony ton. – Weźcie mnie. Za pół godziny wszyscy

w bazie dowiedzą się, że chciałem sprzedać wam broń. – Ali cały czas tłumaczył. – Musieli mnie śledzić. Aresztują mnie, jeśli wrócę. Zabierzcie mnie, a pokażę wam, jak dostać się do bazy w Incirlik. Pokażę wam plany. Tego chcecie, prawda? Obiecuję! – Nienawidziłem się za każde słowo i płacziwą nutę w głosie.

Nerwus cały czas coś wrzeszczał, ale Okularnik chyba kazał mu się uspokoić, bo niechętnie urwał tyradę. Dobra, jeszcze jedna próba.

– Proszę, zabierzcie mnie do obozu ze sobą. Wiem, kiedy i gdzie ostateczną radę odbędą dowódcy wojsk koalicyjnych. Jedno uderzenie i sparaliżujecie działania sił interwencyjnych!

Z twarzy Okularnika, nieformalnego dowódcy w tym momencie, można było wyczytać, jaką podjął decyzję. Rzucił krótki rozkaz w stronę Nerwusa, na co tamten zareagował pełnym zdumieniem pytaniem, coś w stylu: Jesteś pewien? Ale Okularnik najwyraźniej był, bo Nerwus po chwili wahania opuścił karabin i poszedł do ciężarówki.

– Kazał mu poszukać czegoś, czym można by nas skrupować – przetłumaczył Ali. – Chyba się udało.

W duchu skarciłem swojego towarzysza za ostatni komentarz, ale ja też poczułem ulgę, że sytuacja rozwinęła się w tę stronę. Nerwus po chwili wrócił z kawałkami konopnej liny i dwoma jukowymi workami. Kazali nam wstać i ręce założyć na plecy, a następnie zrobili użytek z lin i worków. Śmierdziało stęchlizną i czymś organicznym. Przy okazji pobieżnie nas przeszukali. Składany szczyryk powędrował z mojej kieszeni do kieszeni jednego z Arabów.

Wstałem, pchnięty lufą karabinu. Dwaj Arabowie pomogli nam wejść na pakę ciężarówki. Nie obyło się bez kusańców. Rozsiadłem się możliwie najwygodniej, co nie było łatwe, zważywszy, że na pace leżały skrzynie z bronią. Uśmiechnąłem się do siebie. Tak jak się spodziewałem, nie miałem do czynienia z geniuszami. Arabowie nie zaprzętnęli sobie głową zmianą samochodu, po prostu porzucili swoją ciężarówkę i zdecydowali się na wojskowego Jelcza.

Gdyby w Jelczu znajdował się lokalizator, obóz terrorystów byłoby znacznie łatwiej znaleźć, niż mogłoby mi się wydawać.

Na początku podróży próbowałem zorientować się mniej więcej, dokąd jedziemy, ale szybko odpuściłem. Uznałem, że jedynymi rozsądnymi kierunkami będzie północny Irak albo Iran. I faktycznie – przez jakąś godzinę telepaliliśmy się po górskich drogach, następnie zjechaliśmy na równą, piaszczystą nawierzchnię. Zawieszenie Jelcza było na tyle dobre, że nie odczuwałem zbytnio trudów jazdy i w pewnym momencie zacząłem nawet przysypiać. Stara wojskowa zasada brzmi – wyśpij się, kiedy masz ku temu okazję, bo nie wiadomo, kiedy następna się trafi. Pewnie ciężarówka kierowana przez islamskich bojowników to ostatnie miejsce na spokojny sen, ale wiedziałem, że przynajmniej przez jakiś czas nic nowego się nie wydarzy.

Po jakiś dwóch godzinach jednakże się wydarzyło. Z lekkiej drzemki wybudziło mnie zatrzymanie samochodu. Następnie odezwały się głosy w języku brzmiącym inaczej niż ten, który słyszałem chociażby w bazie wojsk ekspedycyjnych. Najprawdopodobniej farsi, byliśmy więc na przejściu

granicznym z Iranem. Jeden z Arabów (chyba Okularnik – nie słyszałem dobrze przez worek na głowie, ale to on był dowódcą), powiedział kilka słów, wsłuchał się w odpowiedź i za chwilę ruszyliśmy dalej. Fakt, że służby graniczne współpracują z Państwem Islamskim w ogóle mnie nie zdziwił.

Po przekroczeniu granicy z Iranem ciężarówka przyspieszyła. Głównie jechaliśmy na wprost, ale w pewnym momencie zjechaliśmy z gruntowej drogi. Ciekaw byłem, jak Jelcz wytrzyma trudy jazdy po piasku, ale terrorysta okazał się dobrym kierowcą – kiedy trzeba było, puszczał sprzęgło, w odpowiednim momencie zwiększał obroty silnika. Nie zakopaliśmy się ani razu, ale mnie i Alego rzucało po całej pace, więc o jakiegokolwiek drzemce nie było już mowy. Zresztą teraz nerwy miałem napięte jak postronki, bo zbliżaliśmy się do celu. Wrażliwy moment – zastrzelą nas albo ugoszczą. Czułem jednak, że ja i Ali jesteśmy w mniejszym niebezpieczeństwie, niż byliśmy jeszcze jakiś czas temu. Gdyby mieli nas zabić, już dawno by to zrobili.

Okazało się jednak, że ani nas nie zabili, ani nie ugościli. W pewnym momencie ciężarówka zjechała z wydmy na drogę szutrową. Pojechaliśmy nią kawałek, po czym Jelcz się zatrzymał. Znajdowaliśmy się w jakimś budynku; dźwięk pracującego na wolnym biegu silnika odbijał się echem. Silnik za chwilę zgasł, paka się otworzyła, a Okularnik wykrzyczał kilka słów. Ich znaczenie było jasne, ale związany i obolały po długiej i trudnej jeździe nie potrafiłem samodzielnie wstać. W końcu ktoś się nade mną zlitował i pomógł mi wyjść z ciężarówki. Potruchtałem w kierunku, w którym mnie popychano. Sądząc po odgłosach, Ali biegł tuż za mną.

Po krótkim truchcie ktoś zatrzymał mnie szarpnięciem. Szczęknął klucz w zamku, rozległ się zgrzyt zawiasów. Następnie poczułem, jak ostry nóż przecina więzy na nadgarstku, ktoś ściąga mi worek z głowy i popycha do przodu, do wnętrza przestronnego pokoju. Za mną w środku znalazł się Ali.

Zatrzaśnięto za nami drzwi i zakluczono. W pokoju panował półmrok – nie było okien, trochę światła dawała goła żarówka, wisząca pod sufitem. Za pełne umeblowanie robił materac i miska z wodą. Hilton to to nie był, ale w gorszych warunkach zdarzało mi się sypiać w Afganistanie i w Iraku. Sprawdziłem – materac był twardy i czysty, a woda chłodna.

– Zaklepuję materac – powiedziałem. Wymieniliśmy spojrzenia. Znajdowaliśmy się dokładnie tam, gdzie chcieliśmy, nikt nas nie zastrzelił, dali nam materac do spania (jeden na dwóch, ale to i tak więcej, niż się mogliśmy spodziewać). Do świętowania wciąż była jeszcze daleka droga, ale póki co wariacki plan rozwijał się znakomicie.

Na materacu położyłem się w butach. Kolejna wojskowa zasada – zawsze bądź gotowy do akcji. Ja nie wyobrażam sobie gotowości bez butów. Następnie poklepałem tarczę zegarka. Zniknął pokazywany czas (według niego od momentu spotkania ze śmigłowcem minęło jakieś cztery i pół godziny), a pokazała się klawiatura podobna do tych w dotykowych telefonach komórkowych. Litery były małe, moje palce są grube, toteż z trudem i po kilku pomyłkach czubkiem małego palca udało mi się wpisać:

– Weszliśmy.

Następnie kliknąłem „Wyślij”, położyłem głowę na ramieniu i niemal natychmiast zasnąłem.